Nr 49. We Lwowie dnia 5 grudnia 1897. Rok 5

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha

Echa listopadowe w poezji Mickiewicza.

(Dokończenie).

Jak ziemia, zorana głęboko chwytającym pługiem, bujny wydaje kłos, — tak z duszy poety, wzruszonej ostrzem wielkich wypadków, snują się teraz, jedne po drugich, arcydzieła, które się stały dla spółczesnych i zstępnych pokoleń „i miodem i mlekiem i żółcią i krwią duchową". Ów okres spotęgowanej twórczości, w którym poeta — według własnych słów — w ciągu jednego miesiąca napisał tyle wierszy, że liczba ich „wyrównywa trzeciej części, a może i połowie wszystkiego, co dotąd drukiem ogłosił", — rozpoczął przekład „Giaura".

Nietrudno zrozumieć dla czego Mickiewicz wrócił teraz właśnie do rozpoczętej niegdyś a przerwanej pracy. Upadającym pod brzemieniem klęsk i strat chciał przypomnieć ustami wielkiego barda Albionu, że takie bóle, takie ofiary są koniecznością w życiu ujarzmionych narodów. Bez cierpień, bez poświęceń, bez krwawych protestów istnienie tych, którym wydarto ojczyznę i wolność, stałoby się szeregiem nikczemności, wiodących w zatracenie wieczne: „pełzliby z kolebki w mogiły niewolni — gorzej — słudzy niewolników, zmazani całą szkaradą, co brudzi niewiele wyższych nad zwierzęta ludzi". — Opłakującym śmierć ukochanych, mówił szeptem pociechy, że „groby swobodnych" to „wolności ołtarze". Znękanych, wątpiących, zrozpaczonych krzepił na znajomości dziejów opartem zapewnieniem, że „walka o wolność, gdy się raz zaczyna, z ojca krwią spada dziedzictwem na syna, — sto razy wrogów zachwiana potęgą, skończy zwycięstwem", bo „nikt nie zagrzebie ducha swobody — chyba on sam siebie".

Tłumaczenie jednak cudzych myśli, choćby najwznioślejszych, nie mogło wkrótce wystarczyć poecie. Potężne prądy własnych uczuć rozrywały mu pierś, płynęły w duszy wnętrznościach, świeciły „na jej wysokościach, jak strumienie podziemne, jak gwiazdy nadniebne" i szukały ujścia w słowach. Wspomnienia młodości, „górnej i chmurnej", spoczywające w głębi pamięci od lat siedmiu, przysute grubą warstwą nie zawsze dodatnich wrażeń odeskich, moskiewskich, petersburskich, rzymskich, teraz, potrącone wichrem dziejowym, zbudziły się, ożyły, wzięły krew i ciało w trzeciej części „Dziadów".

Poeta sam spełnia tu rolę guślarza i potęgą czarodziejskich zaklęć wywołuje duchy z niedawnej przeszłości, — duchy jasne i ciemne, potępione i błogosławione. Sam też jest chórem, a jego pieśń improwizowana bije w stropy niebieskie żalem, łzami, jękiem, rozpaczą miljonów, nadaremnie wołających ratunku!

Spółcześni odczytywali cudny poemat, jak modlitwę, na klęczkach*), — dla późniejszych pokoleń stał się on ewangelją. Młodzież polska poznawała z ognistych kart „Dziadów" krzywdy ojczyzny i wielkość Jej ducha, uczyła się miłości, nienawiści, buntu! Żywą, młodocianą wyobraźnię wysoko nastrajały takie sceny, jak opowiadanie o Cichowskim, lub wywożenie młodzieży wileńskiej na Sybir. I nie jeden, w tajne wiążąc się stowarzyszenia, marzył, że i on — jak tamci — „przed katowskim nie zblednie obuchem, ani się spłoni na widok powroza", lecz patrząc z kibitki na płaczące tłumy „okiem dumnem, suchem i pogodnem", krzepić je będzie potężnym okrzykiem nadziei: „Jeszcze Polska nie zginęła!" Ach, męczeństwo działa na szlachetnych jak pieśń wabiąca!

---

*) Z listu Bohdana Zaleskiego.

Trzecia część „Dziadów“ miała być tylko przygrywką do poematu, którego olbrzymi plan zarysowywał się wówczas w wyobraźni poety. „Sceny wileńskie — pisał do Niemcewicza — są wstępem do więzień petersburskich, katorżnej roboty i posielenia w Sybirze“. — Niestety, do wykonania przedsięwzięcia nie przyszło nigdy. Poeta pozostawił nam tylko w drogiej po sobie puściźnie kilka drobniejszych utworów, osnutych na tle powstania Listopadowego: „Śmierć pułkownika“, „Nocleg“, „Pieśń żołnierza“, „Redutę Ordona“. Pierwszy z nich poświęca pamięci Emilji Platerównej, bohaterskiej dziewicy, z której miłość ojczyzny uczyniła wodza powstańców, a „wódz to był wielkiej mocy i sławy; kiedy po nim lud prosty tak płacze i o zdrowie tak pyta ciekawy“. W drugiej z koleji piosence („Nocleg“) na tle przyćmionego krajobrazu dostrzegamy postać innego wodza. Cienie nocne ją osłaniają, lecz krwawa łuna pożarna rzuca na nią chwilowo jaskrawy blask i pozwala uchwycić jeden jej rys znamienny. W rysie tym maluje się cały człowiek. Naczelnik, co „nad Trockiem jeziorem po kowgańskiej potyczce nocuje“, sprawy ogółu stawia ponad osobiste, ojczyznę gorętszą kocha miłością, niż siebie i rodzinę. Na wieść bowiem, przez szalającego z radości Krakusa przyniesioną, że Skrzynecki „zbił pod Wawrem Rozena, Gejsmara, nabrał jeńców i dział co nie miara.. idzie w Litwę!“ — na wieść o tryumfie polskiego oręża, polskiej dzielności przebacza zbrodniarzowi, który zburzył mu gniazdo rodzinne, zarżnął żonę, spalił dzieci. Przebacza zaś nie dla tego, że czuć silnie nie umie, — wszak przed chwilą „z oczu wodza straszniejszy żar buchał“, niż z okien palącego się domu, a z gromowładnych ust padł rozkaz: „powroza!“ — przebacza, bo w dniu dla ojczyzny szczęśliwym „karać nikogo nie zdolny!“ — W „Pieśni żołnierza“ dźwięczy nuta bezmiernego żalu i tęsknoty rozbitka-tułacza, któremu wspomnienia wojenne płoszą sen z powiek na pruskiej ziemi. Ostatni nakoniec z wymienionych utworów, „Reduta Ordona“, pierwsze zajmuje miejsce co do siły, blasku, porywającego czaru słowa. Słychać tu, jak w „koncercie nad koncertami“ z „Pana Tadeusza“, „tysiące coraz głośniejszych hałasów, takt marszu, wojna, atak, szturm, słychać wystrzały“ — a wkońcu „huk jak stu gromów! — Ten huk to wysadzenie w powietrze reduty, to czyn, który wsławił na wieki imię Ordona, „bo dzieło zniszczenia w dobrej sprawie jest święte, jak dzieło tworzenia“.

Popularna, głośna, szeroko znana, z równą potęgą działająca na masy, jak na wybrane jednostki „Reduta Ordona“ daje miarę czem by mógł być ów marzony przez Mickiewicza poemat na tle wypadków z r. 1831. Ale myśl wieszcza, jakby znużona odmętem boleści, który tam spotykała, cofnęła się z krwawych pól mazowieckich i pomknęła na skrzydłach tęsknoty „do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych, szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych“, — pomknęła po odpoczynek i ochłodę tam, gdzie upłynęło jego „dzieciństwo sielskie, anielskie“... Echa listopadowe zabrzmiały raz jeszcze, raz ostatni w „Litanji“ i „Modlitwie pielgrzymskiej“, — zabrzmiały rozwiewnie, kornie, łzawo w błagalnej prośbie: „Boże Jagiellonów! Boże Sobieskich! Boże Kościuszków! zlituj się nad Ojczyzną naszą i nad nami. Pozwól nam modlić się znowu do Ciebie obyczajem przodków, na polu bitwy, z bronią w ręku, przed ołtarzem, zrobionym z bębnów i dział, pod baldachimem, zrobionym z orłów i chorągwi naszych!“

M. Wysłouchowa.

Kartki naukowe.

VII.

O wpływie nauk przyrodniczych na postępy medycyny [1]) przez dr. M. Stefanowską.

Bieżące stulecie jest bezwątpienia najświetniejszą epoką w rozwoju nauk przyrodniczych. Nigdy przed tem odkrycia i wynalazki nie pojawiały się tak tłumnie, nie płynęły takim nieprzerwanym potokiem, jak za naszych czasów. A co najważniejsza, nigdy jeszcze nauka nie przyczyniła się tyle do uszczęśliwienia ludzkości, do zmniejszenia jej cierpień, jak na schyłku bieżącego stulecia. Istotnie, dzięki świeżym odkryciom naukowym medycyna zyskała nowe zupełnie podstawy i w ciągu dwudziestu lat ostatnich zrobiła większe postępy, niż przez dwadzieścia stuleci ubiegłych.

Co wpłynęło na ten nagły, niepojęty rozkwit medycyny? Co wlało młodzieńcze ożywienie w jej prastary organizm? Cudu tego dokonały przeważnie prace naukowe Pasteura.

Ludwik Pasteur urodzony w Jurze (Dole) 1822 r. początkowo namiętnie oddawał się doświadczeniom z chemji, które doprowadziły go wkrótce do jednego z największych odkryć. Wiemy, że gdy do naczynia wlać płynu ocukrzonego i dodać do niego węglanu wapna, to po niejakim czasie płyn burzyć się zaczyna;

[1]) Wyciąg z mowy Karola Richeta, mianej w Towarzystwie lekarzy brytyjskich, w Monrealu, 1897 r.

ulatuje z niego kwas węglowy, a w naczyniu powstaje kwas mleczny kosztem cukru, którego ilość wciąż się zmniejsza. Jaka przyczyna spowodowała to przekształcenie cukru? Oto Pasteur dowiódł, że owa przemiana chemiczna powstała od tego, że w płynie cukrowym pojawiły się drobne kuleczki żyjące, które mnożą się coraz szybciej w miarę tego, jak płyn coraz więcej fermentuje

Tym sposobem dzięki Pasteurowi od 1857 roku stało się wiadomem, że wszelkie fermentacje pochodzą zawsze od jednakowej przyczyny, a mianowicie od rozmnażających się w płynach żywych kuleczek, zarodki których spadają z powietrza.

Nowy świat odkrył się przed oczyma uczonych. Nie zaraz jednak zrozumiano doniosłość tego odkrycia. Nowe prawdy z trudnością przenikają do umysłu ludzkiego. Zaczęto robić Pasteurowi rozmaite nieuzasadnione zarzuty, a między innemi utrzymywano, że żyjące kuleczki, czyli fermenty powstają z niczego w płynach.

Wówczas Pasteur przedsięwziął szereg nowych doświadczeń (od 1857—1863 r.), zapomocą których wykazał, że samorództwo, tj. powstawanie żyjących istotek z niczego, nie istnieje w naturze. Na poparcie swych słów przytoczył fakt, że jeżeli ocukrzony płyn mocno ogrzać, to ciepło zabija wszelkie zarodki w nim się znajdujące i taki płyn wyjałowiony, fermentować nie będzie. Jednakże fermentację można wywołać, zasiawszy w tymże płynie żyjące kuleczki zebrane z innego burzącego się płynu.

Pozostawało teraz zrobić wielki krok naprzód i zbadać, jak owe zarodki żyją i mnożą się, gdy się dostaną do płynów, istniejących w żywych organizmach, tj. gdy się dostaną do krwi i tkanek.

Jesteśmy teraz tak oswojeni z myślą o mikrobach, pasorzytujących w naszym organizmie i sprowadzających rozmaite choroby zakaźne, iż wydawać się nam może, że mikroby znane były ludziom od najdawniejszych czasów. A jednak wiadomość o nich jest bardzo świeżej daty, gdyż to Pasteur pierwszy odkrył nam ich znaczenie. On pierwszy zbadał dokładnie chorobę jedwabnika i dowiódł, że pochodzi ona od żyjących w nim i mnożących się mikrobów. Zjawiło się wówczas przypuszczenie, że i ludzkie choroby mogą pochodzić z tejże przyczyny.

Powyższe prace były czysto naukowej natury, zdobyte w pracowni drogą kilkuletnich doświadczeń. Znalazły jednak wkrótce szerokie zastosowanie w medycynie i stały się dobrodziejstwem dla cierpiącej ludzkości. Lord Zister, lekarz, zaczerpnąwszy natchnienia w odkryciach Pasteura, zastosował je w chirurgji z takiem powodzeniem, iż wywołał istny przewrót w tej gałęzi medycyny i przyczynił się do uratowania niezliczonych istnień ludzkich. Jest on twórcą antiseptyki w chirurgji. Powodzenie operacji chirurgicznej, jak teraz wiemy, zależy w znacznej mierze od tego, czy rana wkrótce się zagoi. Nie należy więc dopuścić, aby w ranie zagnieździły się mikroby i sprowadziły w niej fermentację, niebezpieczną dla chorego. Otóż opatrywanie rany środkami antiseptycznemi ma na celu zabijanie tych zarodków, które się do niej dostały. Nie możemy uchronić chorego od ich napaści, ale zato możemy wciąż niszczyć te pasorzyty.

Dzięki Pasteurowi nowe światło zajaśniało w pojęciach medycznych. Zrozumiano wyraźnie, że gdy do tkanek i krwi organizmu ludzkiego i zwierzęcego dostaną się mikroby i mnożyć się zaczną, wówczas ta wyższa sztuka jest zakażoną przez nie; funkcje organizmu źle się odbywają i rozwija się choroba.

Nie dosyć na tem, ów chory organizm może udzielić swej choroby innym istotom, zbliżającym się do niego, gdyż przy zetknięciu z chorym, zarodki chorobotwórcze zostają dalej przeniesione. Wówczas dopiero zrozumianą została tajemnica udzielania się chorób i epidemje. Jestto poprostu rozsiewanie dokoła chorobotwórczych zarodków.

Rzecz naturalna, iż Pasteur nie odkrył mikrobów wszystkich chorób zaraźliwych, lecz on pierwszy wyjaśnił, na czem polega zakażenie. Droga została wskazaną i odtąd ze wszech stron posypały się inne odkrycia.

(Dok. nast.).

W GÓRACH KAUKAZU.

(Ciąg dalszy).

Na kępie, tuż około wody, w gniazdku z ziół, zwinąwszy się w kłębek, leżała żmija. Noc tu widać spędziła, gdyż krople rosy pokrywały jej grzbiet pręgowany, a łebek wieńczyły źdźiebełka trawy. Otworzyła paszczę i podniosła się z gniewnem syczeniem. Koluś kolbą dubeltówki odrzucił ją daleko i przypadł chciwie do zdroju. Paweł odwrócił się z obrzydzeniem, ale nie śmiał postąpić kroku bez towarzysza.

Z za krzewów widniał już dach domu — cel wędrówki. Wszędzie dawały się dostrzegać ślady obecności człowieka. W leszczynie ścieżki rozbiegały się we wszystkie strony, a tam z pod głazu wypływało źródełko, ciągnął się

szereg dużych z sobą połączonych koryt z nieciosanych pni dębowych, w które spadała jego woda. U koryta stała dziewczyna i wiadrem czerpała wodę. Słońce jaskrawo oświecało jej smukłą postać w białej z ukraińska wyszytej koszuli, w ciemnej bez stanika spódnicy, w kaukaskich „czuwiakach“ na bosych nogach. Nabrawszy wody, postawiła wiadro obok drugiego na ziemi, poprawiła na plecach nosidła, zahaczyła i podniosła naczynia. W tej samej chwili od domu nadbiegły dwa żółte psy i, szczekając, rzuciły się w zarośla. Dziewczyna zatrzymała się i popatrzyła za niemi zdziwionemi oczyma.

Z za krzaków wyszedł Koluś.

— A to jak!.. Tak rano!... Sam jeden!... Chodźcie prędzej!... — witała go radośnie, lecz uśmiech znikł z jej twarzy, skoro za nim zobaczyła Pawła.

— Pan!... witajcie!... Idźcie do domu... ja zaraz...

Postawiła wiadra i nieznacznie opuściła podkasaną spódniczkę, a widząc, że tamci nie ruszają się z miejsca, poszła przodem.

— Nocowaliśmy pod skałą — zaczął Koluś.

— A zatem wyszliście wczoraj... Więc zbiór winogron skończony... Cóż słychać na kolonji?... mówcie!... Cóż dzieci?... Zaczęliście już szkołę?.. Podobno ty, Kolusiu, będziesz uczył w tym roku!.. Czyście się już przenieśli do nowego domu?... Jak zdrowie Kasi?... A ty co porabiasz?... Co wszyscy?... Jakże dawno nie widziałam nikogo!... Zmężniałeś, opaliłeś się!... Mówże!... nieznośny chłopcze!..

— Kiedy mi nie dajesz!

Zwolna zbliżali się ku domowi. Tam już dostrzeżono gości. Dwóch mężczyzn, siedzących na ziemi przy rozebranym pługu, podniosło się za ich zbliżeniem. Jeden z nich, wysoki, barczysty brunet, w wypłowiałym mundurze urzędnika trzymał w ręku błyszczący lemiesz; drugi, smukły blondyn w domowej bekieszy, machał niedbale młoteczkiem.

— Jakiem losu zrządzeniem... na Darbegu!...

— Ot, tak... zapolować!... Paweł chciał jeszcze przed wyjazdem wasze gniazdo obejrzeć.

— Orle gniazdo!.. — zaśmiał się blondyn.

— Przyszliśmy krótszą drogą.. przez szczeliny! A bylibyśmy już wczoraj, gdyby nie wypadek... Najprzód Grzegórz marudził... a w nocy zbłądziliśmy na skałach... Nocleg był boski, ale... bez śniadania!

— Wybornie! Właśnie herbata gotowa... Panno Marjo, może u pani przyjmiemy gości... w salonie! — zapytał brunet i rzucił lemiesz na ziemię.

„Orle gniazdo“ składało się z dwóch niewielkich szałasów, na prędce z desek skleconych, przykrytych słomą i darnią. Na dachu jednego sterczała rura żelaznego piecyka, a wejście zamykały nizkie drzwi na zardzewiałych zawiasach. Był to właśnie ów „salon“. Drugi szałas nie miał pieca ani drzwi. Przed szałasami znajdowało się ognisko pełne popiołu i piec z gliny do pieczenia chleba.

Marja postawiła wiadra i, wyprzedzając gości, weszła do wnętrza. Po chwili i oni poszli za nią. Na dworze pozostał tylko Koluś i jasnowłosy Stefek.

— Czy nowa? — spytał Stefan, biorąc dubeltówkę.

— Tak! Ta, co niedawno przysłali.

I zaczęli oglądać ją, jak znawcy.

Marja tymczasem pokrajała chleb i nalała herbatę. Paweł uważnie przyglądał się otoczeniu. I na kolonji panowała prostota, ale tu ta prostota graniczyła z nędzą. Było ciemno, wilgotno; powietrze było przesiąknięte zapachem ziemi, zgniłej słomy i ludzkiego potu. Przez szerokie szpary w ścianach i dachu wesoło zaglądało słońce, ale gdy padał deszcz, pewnie lało się przez nie do wnętrza, i wiatr dął niemiłosiernie. Ściana tuż nad pościelą była dziurawa; a sama pościel, pożal się Boże, składała się z wązkiej ławy, zasłanej skromnie grubą wełnianą kołdrą. Przed ławą stał stół, z gruba ciosany, na słupach, wkopanych w ziemię, w kącie wory z mąką, narzędzia rolnicze i zapas dzikich jabłek i gruszek. Jedynem upiększeniem było małe lusterko, zawieszone nad posłaniem, półka z książkami i duży bukiet z kwiatów alpejskich na stole. Samej zaś gosposi nie brakowało urody, szczególniej teraz, gdy oczy jej stały się prawie czarne od wzruszenia, a ogorzałą twarzyczkę oblał rumieniec.

— Zawołaj ich, Piotrze! — zwróciła się do bruneta, gdy wszystko było już gotowe. Dotychczas nie wymówiła słowa, nie spojrzała nawet na Pawła. Ale on ani na chwilę nie spuszczał z niej oczu spokojnych, badawczo w nią utkwionych. Piotr krzyknął na młodzież. Przy herbacie rozmowa stała się ogólna.

— Spodziewaliśmy się, że zaprowadzicie nas na polowanie; inaczej nie warto było przychodzić!... — dowodził Koluś.

— To trzeba obgadać... Właśnie mieliśmy orać, bo jest wiatr, chłodno, i lękamy się, że ziemia zaschnie. Deszcz może długo jeszcze nie padać.

— Raz w rok... wówczas, kiedyśmy się nareszcie do was wybrali, wy nam odmawiacie!.. Co tu robić, jeśli nie polować?.. Przecie dziś święto!

— Na święto jeszcze nie zarobiliśmy — chmurnie zauważył Piotr.

— Bez waszej pomocy nic się nie sklei... Doprawdy, zgódźcie się!. Taki kawał drogi przyszliśmy... Paweł odjeżdża... Warto mu pokazać, aby pamiętał!..

— Istotnie, moglibyście pójść z nimi — wmieszała się Marja.

— Chyba... dla odjeżdżającego!

Piotr w zamyśleniu potarł nos palcem, Stefan czekał, co inni postanowią: orać to orać, a polować — to polować! Rozumie się, on się zgodzi na wszystko.

— W takim razie, — z ożywieniem zaczął Piotr — pójdziemy zaraz po śniadaniu i zobaczymy, czy są u wodospadu ślady żyranic *). Niedawno były, widziałem. Jeżeli są, to wrócimy do domu, zjemy obiad, ja przygotuję pług na jutro, a wy odpoczniecie, i przed wieczorem siądziemy na czatach w przesmykach. Zgoda? Pójdziemy wszyscy, miejsce upatrzymy i umówimy się, gdzie kto stanie, żeby wieczorem zająć stanowisko bez rozmowy i hałasu. Żyrany są nadzwyczaj czujne i łatwo je zestraszyć. Ale do wody mają tylko jedną drogę. Jeżeli przyjdą, zobaczymy je na pewno. A jeśli nie, to poprowadzę was na niedźwiedzia... Jednakże polowanie na żyrany dużo ciekawsze! Jak one ślicznie wbiegają w przepaść!.. że doprawdy strzelać żal!.. A zatem zgoda? idziemy!

Młodzież była zachwycona i natychmiast zabrała się do lania kul i robienia patronów. Zaczęli potem strzelać do celu i narobili takiego hałasu, tyle napuścili dymu, iż mogli wystraszyć zwierzynę w całej okolicy.

Marja krzątała się u ogniska. Paweł pozostał w szałasie dziewczyny i przerzucał książkę, wziętą z półki.

— A wracajcie prędko, bo zaraz obiad będzie... — wołała za nimi, gdy gęsiego ruszyli wreszcie do lasu.

Czas jakiś szli po szerokiej, dla wozów utorowanej drodze, potem zawrócili w głąb. Nad niemi buki, dęby, graby, czynary, osina, topole i lipy olbrzymiej grubości i wzrostu łączyły swe konary w zbite sklepienie. Pod drzewami jak puch gaiła się leszczyna, olcha górska i inne krzewy; wszystko tonęło w półświetle zielonem, które zabarwiało na kolor trupi twarze myśliwych. Nieliczne promienie słoneczne, które się tu dostały, takiż sam miały odcień. Jak złote centki pstrzyły dno lasu, wśród zupełnego spokoju drżały i tańczyły po pniach i liściach za każdem poruszeniem w górze wiatrem kołysanych koron.

Cały stok wyniosłości, po której schodzili w dół, był porosły lasem.

— Przejście miejscami będzie trudne, ale tędy o wiele bliżej... W górach prędko uczysz się stanowczości. Czy nie prawda? — z uśmiechem zwrócił się Piotr do idącego za nim Pawła.

— Jakie on ma ładne oczy i miły uśmiech — pomyślał Paweł.

— Dobrze, że tu niema ljan i cierni — odezwał się głośno.

— A tak. Trzymaj się pan... mocno trzymaj... bo tu ślizko — glina.

Pochyłość stała się tak stroma, iż drzewa przestały zasłaniać widnokrąg, a dalekie góry zarysowały się ponad ich czubami. Idący biegli od pnia do pnia, ślizgali się, padali, chwytali za gałęzie pod ciągłą groźbą oberwania się i stoczenia po pochyłości.

— Jak te olbrzymy mogą utrzymać się na takiej ścianie? — dziwił się głośno Paweł, na chwilę dla wypoczynku opierając się o pień czynara wielkiego i siwego, jak kolumna ze starego marmuru

Piotr spojrzał przyjaźnie na ogromne drzewo.

— Radzę, niech pan się trzyma za gałęzie leszczyny, ot tak — uczył Pawła — I nie prędzej puszczać jedną, aż się schwyci następną!...

Wszyscy tak robili, inaczej nie byłoby można ujść. Broń przesunęli na piersi, by uchronić ją od uszkodzenia, i spuszczali się jeden za drugim, jak po drabinie. Nareszcie zamajaczyły białe skały pod ich stopami — jeden, drugi skok i znaleźli się na dnie „szczeliny", głęboko wyżłobionej w wapieniu.

Głośnem echem rozległy się ich wesołe okrzyki, tupot nóg i uderzenia kolb o płyty łożyska.

— Cicho!... tu trafiają się dziki... Oj, myśliwi! myśliwi!.. upominał ich Piotr.

Na głazach leżała masa orzechów, żołędzi, jagód derenia i innych nieznanych Pawłowi owoców. Gałęzie, z których opadły, zwieszały się ze zrębów nad ich głowami. Pod nogami, gdzieś wśród skalnych rumowisk, sączył się i szemrał strumyczek. Był niewidoczny, ale go zdradzały smugi traw i kwiatów, wyrastających jego śladem. Dno szczeliny wyścielały ogromne płyty, gładko, jak kościelna posadzka, wyszlifowane przez wodę. Nawet zwalonych kłód drzewa było mało, choć na stokach rósł taki potężny las.

— Co tu bywa za robota na wiosnę — wesoło zawołał Piotr.

— W szczelinie pełno ruchu, piany i hałasu!

Wązkim przesmykiem dostali się do szerszego wąwozu, zalanego słońcem. Paweł zau-

---

*) Żyrany — gatunek górskiego jelenia; znajduje się tylko na Kaukazie i w Alpach.

ważył ze zdziwiem, że zostawił on szereg olbrzymich stopni kamiennych zupełnie podobnych do tych, po których widział rano spływające kaskady. Tu było sucho; woda tylko miejscami sączyła się ze szpar.

— Którędy pójdziemy?

— Tędy! — w odpowiedzi wskazał Stefek górę.

Paweł spojrzał zaciekawiony, jak to oni wedrą się na zupełnie prostopadłą ścianę. Stało się to jednak w sposób bardzo zwyczajny. Piotr zaczął wstępować pierwszy, czepiając się za krawędzie i wysterki — za jego przykładem poszli inni. Czasami trzymali się tylko rękami, to znowu pospiesznie bokiem przesuwali się po wąziutkich załomach. Ruch, wspólność niebezpieczeństwa, co chwila składane dowody zręczności i odwagi rozpalały im ogień w źrenicah, a na twarzy kładły żywe rumieńce. Każdy z nich troskał się więcej o broń, niż o własne nogi; zawieszał ją na piersiach lub przesuwał na plecy w miarę potrzeby, niósł nawet w ręku, byle tylko nie stuknąć lufą o kamień. (C. d. n.).

Adam Bełcikowski.

Dramata i komedje.

Kraków 1898.

Lecz po chwili przychodzi rozmysł: „Ona jest niewinna, jak słońce, gdyby mózg ci przepaliło, jak woda, gdyby w głąb cię pochłonęła. Czemże się ona od tych rzeczy różni, kiedy w niej, równie jak w nich, duszy niema!“ I żądza zemsty zamienia się w konieczność przecięcia własnych tylko męczarni. Wybiega nad urwisty brzeg rzeki i skacze w przepaść.

Treść, jak widzimy, nie odznacza się nowością pomysłu ani doniosłością zadania: rzecz prosta, bez efektownych zawikłań w krótkich i prostych odsłania się obrazach, a jednak z każdej sceny przemawia siła pewna, charaktery oddane znakomicie, wypuklają się niejako: przezacny, wspaniały Bonar, ewangielik, chytry dworak Pełka, romansowa królowa, a nadewszystko sam Kmita, przechodzący wszystkie stopnie uczucia, od czułej, głębokiej, tonącej w szczęściu miłości do bezdennej rozpaczy, pragnącej utopić się w szaleństwach i nagle zrywającej wszelkie więzy panowania nad sobą, w jednej krótkiej chwili dotknięcia starych ran — są to ludzie, w których życie pulsuje, tak jak sceny są prawdziwemi wypadkami życia; wszystko to porwać może widza, działać nań z siłą, jaką wywiera prawdziwy artyzm, dzieło natchnienia, nie zaś utwór mozolnej pracy.

Czego bowiem wymagamy od utworów dramatycznych? Oto przedewszystkiem siły w kreśleniu uczuć i charakterów, oraz przedstawienia takich momentów, w których charaktery te podnoszą akcję do najwyższego natężenia. Na zawikłaną treść, na opowiadanie w „splątanych dziejach“ silić się może romans, powieść, poemat — w dramacie widzieć musimy ów dramatyczny związek, spoczywający w charakterze lub uczuciach osób działających. Życie zewnętrzne, bieg wypadków, dają tylko osnowę, na której takie niezwykłe dusze, tworzą niepowszednie, tragiczne zwroty i rozwiązania. Szekspir z całą nienaturalnością swych kreacji jest i pozostanie wielkim, bo władał, jak nikt genialnem odtworzeniem uczuć i charakterów. Bohaterowie jego nie są to ludzie tacy, jakich spotykamy zwykle, może nawet nie tacy, jakimi kiedykolwiek byćby mogli, a jednak z podziwem i zachwytem w nich się rozczytujemy, bo są to tylko olbrzymy uczucia, nienaturalne przerastające zwykłą miarę człowieka, ale ujawniające się w imponującej potędze. I w tem leży siła dramatyczna w Szekspirze. Jest to miernik, którym najdokładniej mierzyć się da skala każdego dramatycznego utworu. To też zastosowując tę miarę, zrozumiemy, czemu najdrobniejszy i najbłahszy treścią dramat Bełcikowskiego najżywsze wywiera wrażenie.

Z obrazów dramatycznych do najszczęśliwiej odtworzonych zaliczyć wypada „Przekupkę warszawską“, w ostatnich czasach na scenie krakowskiej, a także i u nas we Lwowie często i z powodzeniem dawaną. Nie posiadając usterek prac uprzednich, ostatni ten utwór odznacza się zaletami, na których tamtym zbywa. Akcja prowadzona jest żywo, na scenie widzimy ludzi poruszających się żwawo i swobodnie, nie na koturnach klasycyzmu, z których przemawiają nie inaczej jak „ex catedra“. Świeci tu wszędzie żywe uczucie, biją poczciwe serca, wielbiące cnotę i brzydzące się zdradą. Sama bohaterka, Magda, ma wprawdzie zanadto dużo stylizacji w ciągłem prezentowaniu swoich uczuć, niemniej taka z niej dzielna, uczciwa dziewczyna, że wzbudzić potrafi w widzu najżywszą sympatję. Do szczęśliwszych postaci należą: książe Józef, który do końca wytrzymuje charakter rycerski, nieco dumny a pełen nieskazitelnej prawości i odwagi, i zdrajca Jakób, w którym jak najprzód zdrada, tak potem opamiętanie się i skrucha, dobrze są przeprowadzone.

Mniej szczęśliwie udał się król autorowi. Przywykliśmy przedstawiać sobie Stanisława

Augusta jako człowieka subtelnej cywilizacji, z czułemi nerwami, z umysłem bystrym, umiejącego po światowemu uczucia swoje kryć pod maską „savoir vivre'u". Tu go widzimy szczerym, otwartym prostakiem, który zastanawiać się, ani krytykować swoich uczynków nie umie. Patrząc nań, zdaje się, że mamy przed sobą jakiegoś ograniczonego „bon homme'a" z wypchanemi kieszeniami, któremu skóra cierpnie na samo przypuszczenie utraty zdobytej pozycji. Niemniej uległość księciu Józefowi, sam sposób podania trucizny bratu, daje obraz jakiegoś safandulstwa, którem król słaby wprawdzie, lecz zręczny i przebiegły, nie odznaczał się wcale.

Również w Kościuszce, obok pełnej prostoty dobroci, cechującej wielkiego męża, nader udatnie przez autora schwyconej, chciałoby się widzieć więcej zakroju na naczelnika; scena, w której przekupka Magda przyrządza mu kawę, byłaby bardzo miłym i naturalnym epizodem obozowego życia, gdyby nie ta niezwykła gadatliwość wielkiego wodza, który z zamysłów wojennych i położenia stolicy spowiada się dobrodusznie przed młodą, prostą dziewczyną, targującą obarzankami.

Mimo te usterki „Przekupka warszawska" w całości swojej jest utworem dobrze pomyślanym i rzetelnie wykonanym, sceny prowadzone żywo, z werwą, zajmująco rozwijają się jedna po drugiej: dziwić się nie można, że tak licznie ściąga widzów ku sobie, dogodzić potrafi i tej części publiczności, która w przedstawieniach teatralnych poszukuje wrażeń zadawalających wymagania artyzmu i znajomości rzeczy.

(Dokończenie nastąpi)

W. Dalecka.

Lis i Gęś.

Słomka, położona
Między dwa bierwiona,
Uleży, gdy są wilgłe, ale pono
Kruchy jej byt, gdy bierwiona płoną.
Komu nazbyt mistycznem zda się to twierdzenie,
Temu nadmienię,
Że słomka — przyjaźń, a bierwiona —
On i Ona

Gęś, młoda entuzjastka, nieco dzika,
Świeżo z gniazdka w świat wprowadzona;
Lis, przechera, poniekąd i kawał szkodnika:
A przecie, co powiecie, moje panie? —
Najtkliwsze zawarli przymierze.
O życiu gęgała Gęś idealnem,
O wadach swych dziedzicznych Lis jej szczekał szczerze,
Płakał na łonie jej nieprzemakalnem:
Słowem, lisi skowyt i gęsie gęganie
Były wzorem harmonji;
Nawet kury z uznaniem gdakały o lisie.
Lecz ach! cóż jest trwałego?.. W południe na błoni,
Zwanej „gęsie błotko,"
Bawili się
Lis przy Gęsi, Gęś przy Lisie
Rozmową przyjacielską. Lis mówił: — O, jakże jest słodko
Znaleźć serce siostrzane! Od chwili, gdy atłas
Twego puchu mnie olśnił, nie nęci mnie brat-las,
Łowy mi zbrzydły i wiesz co? — od dziś żyję rzodkwią. —
— Ach tak, życie takie piękne
Tyś dobry, ja wiem... — Nie, nie!.. O tkwią
We mnie zarodki złego, ale niechaj pęknę,
Jeżeli nie będę z czasem gęsiom równy. —
— Ja ci wierzę... Jakiś ty wymowny,
Jaki inny,
Niż obraz twój, kreślony mi w dobie dziecinnej,
Gdym rzuciwszy jaje,
Rozpoznawać zaczęła gęsińca zwyczaje. —
— Mm, tak... Jednak, wyznać trzeba,
Że gleba
Tu niezbyt sucha. Źle wpływa wilgoć na zdrowie,
Tam przejdźmy. — Ach, chętnie! Papa gąsior miał przysłowie:
Z druhem
Dobrze i na lądzie suchym.
I przeszli. Lis był naczczo. Półuchem
Słuchał Gęsi, patrząc na jej tułów
Okrągły, i wietrzył, bo czuł ów
Zapach, którym Gęś tchnie podniecona.
Rzekł w końcu — niby do Ofelji Hamlet ów w Szekspirze —
— Pozwól mi na swem łonie spocząć, luba siostro.
Jakoż położył swą mordkę ostrą
Na gęsie pierze.
Ta, wzruszona,
Przyskrzydla go do łona,
Tuli, i aby swą weń ufność okazać mu snadnie,
Z pieszczotą mu swą szyjkę między zęby kładnie.
Lis drgnął, spłonąwszy, jak mina prochowa,
Ściął zęby i gęsia głowa
Odpadła od gardzieli... Struga krwi, jak alkiermas,
wytkwitła na błoni
I drżała Gęś bezgłowa w przedśmiertnej agonji.
Pasące się woddali przyjaciółki ściętej
Rozpiechrzły się, wydając gęgliwe lamenty.
Krople krwi, jak korale, kapią z brody lisa,
Co widząc, źdźbło kostrzewy trwożnie się kołysa
I niezabudki kwiat niewinnookiej zgroza trzęsie,
Gdy Lis chrupie przyjacielskie zwłoki gęsie...
— Stało się — Lis pomyślał, zaczem z mokrą rzęsą
Pojrzał w niebo i zawył: — O, przyrodo, matko!
Czemu każesz jeść mięso,
Gdyśmy duchem głodni?
Czemu nas tropem cnoty prowadzisz do zbrodni!..
Ha! krwawą zagadką
Byt nasz. Oto w lat rozkwicie
Była Gęś: dziś co z niej? Dziób, skrzydła, piór parę z ogona,
Reszta — zjedzona...
O życie! życie!..

J. Lem.

Przegląd pism.

Karty jednego z ostatnich numerów „Tygodnika Illustrowanego“ zdobi grupa fotograficzna kobiet adwokatek. Liczba tych dzielnych przedstawicielek sprawy kobiecej w praktycznem zastosowaniu, doszła w obecnej dobie do pokaźnej cyfry 25, z której 12 przypada na Europę, 1 na Indje, a reszta na Amerykę. Zajmującą tę illustrację objaśnia artykuł następującej treści:

„W ostatnich czasach wiele hałasu narobiła w Paryżu sprawa panny Janiny Chauvin, która po ukończeniu wydziału prawniczego w Paryżu i doktoryzacji zażądała, aby ją wpisano na listę adwokatów paryskich i pozwolono stawać przed kratkami. Odmówiono temu żądaniu, zasłaniając się ustawą. Wówczas panna Chauvin powołała się na swoje studja i świadectwa ze zdanych egzaminów i postawiła opozycji bardzo słuszne zapytanie, co ma zrobić ze swoim dyplomem i tytułami naukowymi, skoro one jej nie dają prawa korzystać z długoletniej, uciążliwej pracy i zająć należnego stanowiska?... Panna Chauvin, urodzona w 1862-im roku, jest córką notarjusza; sierota, kształciła się o własnych siłach, pozbawiona majątku, postanowiła zarabiać wreszcie na swoje utrzymanie w zawodzie prawniczym, uzyskawszy dyplom doktorki prawa. Jeden z głośniejszych adwokatów brukselskich, p. Ludwik Frank, ujął się za nią i wystosował w tej sprawie szeroko motywowany memorjał, w którym między innemi pomieścił życiorysy dwudziestu kilku kobiet obcych narodowości, zajmujących się praktyką w Europie i Stanach Zjednoczonych. Obrońca panny Chauvin dla przykładu przytoczył cały szereg nazwisk w palestrze już zapisanych, jak: panny Lydji Poet, Włoszki, która pierwsza w Europie wstąpiła na drogę prawniczą i od dwudziestu kilku lat prowadzi do spółki z bratem swoim kancelarję obrończą w Turynie, zajmując się specjalnie kryminalistyką. Pani Anna Akesson (urodz. w 1865 r.) była pierwszą Skandynawką, która poświęciła się prawoznawstwu w swojej ojczyźnie. Pani Signa Silen od r. 1895 broni spraw swych klientów w Helsingforsie i staje nawet w tej roli przed Senatem finlandzkim. Panna Letycja Walkington była znów pierwszą doktorką, która się doktoryzowała w Dublinie, praktyki jednak nie rozpoczęła, przekładając pracę filantropijną nad ulżeniem losu ubogich i kalek w swoim kraju. Indjanka, Cornelja Sorabji, pochodząca z kasty kapłańskiej, kończyła studja prawnicze w Oksfordzie, praktykowała w Londynie, a powróciwszy do Indji, została przełożoną zakładu wychowawczego dla dziewcząt, nie zarzucając praktyki adwokackiej. Panna Sarmisa Bilcesco, przed siedmiu laty ukończyła fakultet prawny w Paryżu i w Bukareszcie, dla zasady feministycznej wpisała się na listę obrońców, lecz nie korzysta ze swych praw, ponieważ nie potrzebuje zarabiać na swoje utrzymanie. Szwajcarka, Emilja Kempin Spyri, córka pastora z Altstetten doktoryzowała się w roku 1886 w Zurychu, bawiła czas jakiś w Ameryce, a obecnie osiadła w Berlinie i tam prowadzi biuro porady prawnej w sprawach angloamerykańskich Panna Klara Martin w początku bieżącego roku rozpoczęła praktykę w Kanadzie. W Stanach Zjednoczonych cały zastęp kobiet odznaczył się już na tem polu. Panna Florontyna Crouise od 23 lat praktykuje w Tiffinie (w Stanie Ohio) i zbiera niemałe dochody; jest ona przewodniczącą Ligi narodowej kobiet adwokatek w Ameryce. Siostra jej, pani Luters, broni przed kratkami spraw w zastępstwie swego męża adwokata, który z powodu głuchoty zupełnej nie może się niemi zajmować. Pani Belva A. Lockwood w Waszyngtonie jest pierwszą kobietą, zasiadającą w Parlamencie Stanów Zjednoczonych; w r. 1884-ym była nawet kandydatką na... prezydenta Respubliki. Podziwu godną jest karjera p. Heleny Knowles-Haskell, która ur. r. 1860 w Northwood (New-Hampshire), początkowo nauki pobierała w małej szkółce wiejskiej później została sama skromną nauczycielką, ale dała dowód żelaznej woli i wytrwałości, poświęcając się wyższym studjom, które uwieńczył dyplom doktorski; w roku 1892 postawiła swoją kandydaturę na prezesa Attorney general (Szefa Sprawiedliwości). Kandydatura przepadła, stanowisko to zajął niejaki Haskell, który swą współzawodniczkę dobrał sobie do pomocy i w trzy lata później z nią się ożenił“.

Wiadomości bibljograficzne.

Chmielowski Piotr. Obraz literatury polskiej w streszczeniach i celniejszych wyjątkach. T. I. Warszawa.

Chmielowski Piotr. Zygmunt Kaczkowski. Jego życie i działalność literacka. Zarys biograficzny. Z portretem Z. Kaczkowskiego. (Życiorysy sławnych Polaków Nr. 4.) Petersburg.

Konopnicka Marja. Dym. — Nasza szkapa. — Głupi Franek. Z illustracjami S. Sawiczewskiego. (Biblioteka illustrowana). Warszawa.

Matuszewski Ignacy. Swoi i obcy. (Pokrewieństwa i różnice). Zarysy literacko-estetyczne. Treść: Subjektywizm w krytyce. — Bolesław Prus. — Henryk Sienkiewicz. — Prus i Sienkiewicz. — Słowacki i Shelley. — Mistyka Słowackiego. — Geneza Eloi. — Byron i wpływ jego na literaturę polską. — Ideał bohaterstwa w dramacie indyjskim. — Bohaterowie Jasełek. — Drobiazgi i szkice krytyczne (Torquato Tasso. Liczmany myśli. Estetyka i publiczność). Warszawa.

Orzeszkowa Eliza. Trzy nowelle. 1. A... B... C... 2. W zimowy wieczór. 3. Dobra pani. Warszawa.

O Władysławie Syrokomli (Dla młodzieży). Warszawa.

Błędy językowe.

Nie *zadowolniający*, ale *zadawalający* mówić i pisać należy, bo pochodzi to od *do woli*, ale nie od dowolny; więc też *zadowolenie*, *zadowolić*, ale nie *zadowolnienie*, *zadowolnić*.

Z drukarni Z Golloba.